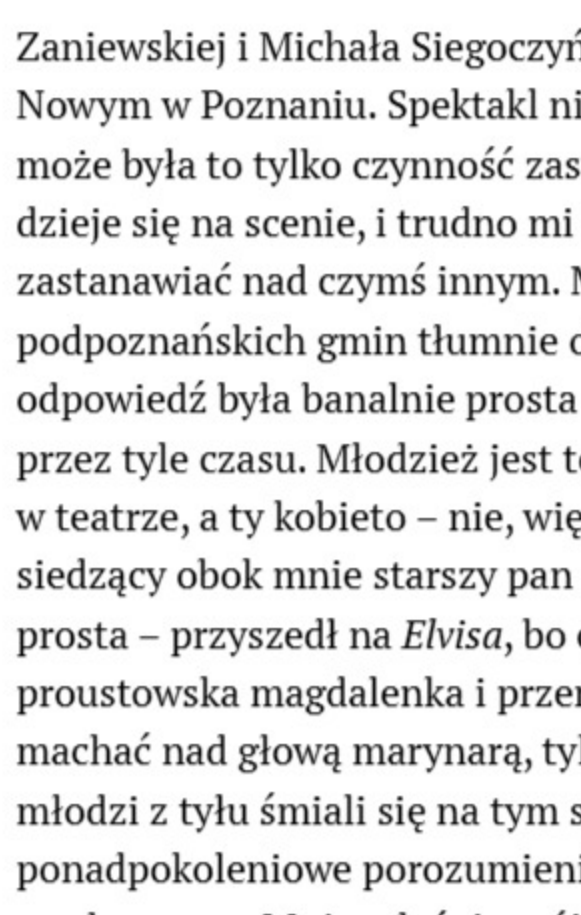
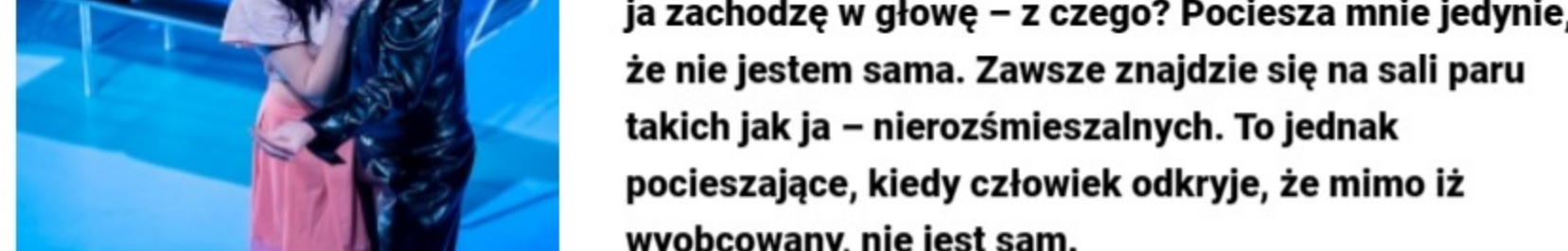


Jesteś tutaj: [Strona główna](#) | [Recenzje](#) | [Strategia popołudniówki](#)

## Strategia popołudniówki

Elvis, reż. Michał Siegoczyński, Teatr Nowy w Poznaniu



Fot. Jakub Wittchen

**Coś jest chyba nie tak z moim poczuciem humoru. Choć ostatnio coraz więcej twórców dwoi się i troi, by przy każdej nadarzącej się okazji (tradycyjnie zwane spektaklem) rozśmieszyć widzów, to jakos nie potrafię dać się ponieść wesołości. Dookoła mnie się śmieją, a ja zachodzę w głowę – z czego? Poczesa mnie jedynie, że nie jestem sama. Zawsze znajdzie się na sali paru takich jak ja – nierozśmieszalnych. To jednak pocieszające, kiedy człowiek odkryje, że mimo iż wyobcowany, nie jest sam.**

Do takich refleksji skłonił mnie Elvis Magdaleny Zaniewskiej i Michała Siegoczyńskiego w reżyserii tego ostatniego, prezentowany w Teatrze Nowym w Poznaniu. Spektakl nie może być zły, skoro prowokuje do refleksji, prawda? Ale może była to tylko chwilowa zastępcza – skoro nie byłam w stanie dojechać, po co to wszystko dzieje się na scenie, i trudno mi było się w tym doszukać sensu, to musiałam zacząć się zastanawiać nad czymś innym. Mogłam oczywiście skupić się na tym, dlaczego młodzież z podopiecznych gmin tłumnie obecna na widowni nieustannie się pożywiała, ale tu odpowiedź była banalnie prosta – spektakl trwa prawie cztery godziny i każdy by zgłodniał przez tyle czasu. Młodzież jest teraz zaradka i z pewnością sprawdziła, ile przyszyje jej spędzić w teatrze, a ty kobieto – nie, więc teraz cierp. Mogłabym się też zastanawiać, dlaczego siedzący obok mnie starszy pan nucił półgosem razem z aktorami, ale tu też odpowiedź jest prosta – przyszedł na *Elvisa*, bo chciał posłuchać Elvisa, co podziało na niego niczym proustowska magdalena i przeniósł się w czasy młodości. Dobrze, że nie zaczął machać nad głową marynara, tylko trzymał ją przyzwoicie na sobie. A jednak i pan obok, i młodzi z tyłu śmiali się na tym spektaklu często i gęsto, więc najwyraźniej łączyło ich jakieś ponadpokoleniowe porozumienie. Tylko ja – gdzieś tak wiekowo w środku – pozostałam wyobcowana. Może właśnie mój wiek i wiążące się z nim doświadczenie życiowe nie pozwoliło mi bawić się tak dobrze na spektaklu Siegoczyńskiego?

Kiedy zmarł King (nie B.B., nie „karate miszcz”, tylko Elvis-Pelvis), rozpoczynałam podstawówkę, a Presley był dla mnie zachodnim, lecz naturalnym dopełnieniem kiczowatej kultury Peerełu, jak Denis Roussos czy Dalida (wbrew temu, co wyobrażają sobie obecnie młodzi ludzie, „żelazna kurtyna” była nieco przerzedziwiała i coś niecoś przez nią docierało). W szkole z lubością powtarzaliśmy sobie dowcip o najbardziej kolejarzkiej piosence – *Love me tender* (kto jeszcze wie, co to tender??). Elvis był więc dla mnie postacią oczywiście znaną, lecz w przeciwieństwie do mojego starszego sąsiada nie podziwiałam już jego muzyki, nie mogłam więc oglądać spektaklu z nostalgią. Równocześnie nie był jednak dla mnie jednak także źródłem obłędu z powodu fryzury, strojów czy przelodzonego sposobu śpiewania, bo doskonale mieścił się w klimacie lat 70., a właśnie te elementy, wyolbrzymione, a przez to jeszcze bardziej karykaturalne, towarzyszyły scenicznym wcieleńom Elvisa (Anna Mierzwa, Michał Kocurek, Mariusz Zaniewski). Ponieważ „Elvisy” na dodatek głównie posługiwały się knajackim językiem i zachowywały podobnie, budziły wesołość młodszych widzów.

Mam ostatnio wrażenie, że ośmieszenie i obśmianie stało się jednym z naczelnych chwytów inscenizacyjnych stosowanych przez reżyserów. Na scenie nie tyle pojawiały się postacie znanych ludzi, co ich karykatury stworzone na poziomie przysłowiowego już polskiego telewizyjnego kabaretu. Jeśli mamy Michaela Jacksona (Anna Mierzwa), to obowiązkowo trzyma się on ręką za przyrodzenie i pod koniec wyspiewywanego wersu wycina wysokie, historyczne „kogutki” i ten greps powtarzany jest do znużenia (przynajmniej mojego). Kiedy Lennon (Grzegorz Gołaszewski) razem z Yoko Ono (Martyna Zareba) przychodzą wręczyć Presleyowi broń, z której ma on zastrzelić prezydenta Nixona, dzielą wypowiedziane nazwy przedmiotu – ex-Beatles mówi: „piss” a kobieta dopowiada „toilet”. To też jest powtarzane. Kiedy Lenon używa w zdaniu „ono”, Yoko natychmiast się zrywa, sądząc, że chodzi o nią. Tego rodzaju humor słowny dominuje w przedstawieniu, co w połączeniu z wulgarnym, quasi-potocznym językiem, chamskimi awanturami, jakie urządza Elvis-Mierzwa, daje wrażenie z jednej strony nieudolnego naśladowania rytmu frazy Masłowskiej, z drugiej, moim zdaniem, obnaża pewną beślisność twórczą, ponieważ spektakl zatrzymuje się na poziomie wygięciu. Od dawna mam poczucie, że im więcej „kurew” czy innych „pierdoleń” autor wkłada w usta postaci, tym bardziej pragnie ukryć, iż nie wie, co one miałyby mieć do powiedzenia. Nieważne co, byle widzowie rechotali, a kilka błuzgów zwykle działa.

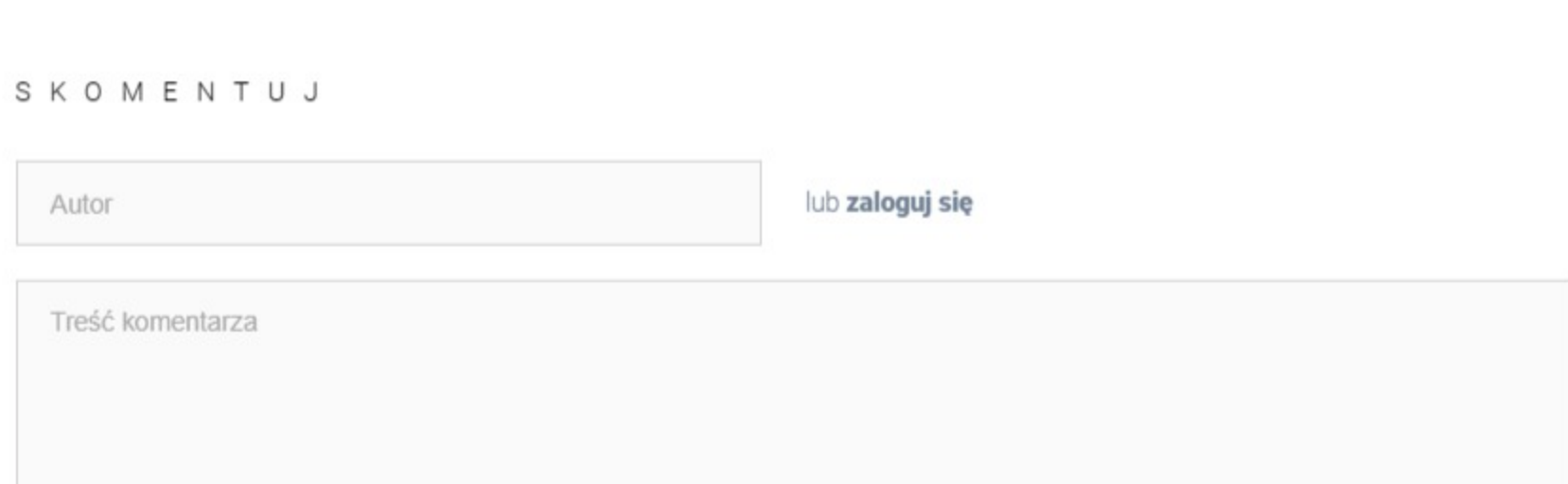
Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że u podłoża takiego konstruowania opowieści, jak w *Elvisie* leżała przede wszystkim zwykła ludzka zawiść wobec artystów, którym się udało, odnieśli sukces i weszli do historii kultury. I tego im wybaczyć nie można, więc trzeba ich poniżyć i obśmiać. Wszystkie te postacie muzyki XX wieku, które widzimy na scenie: Lennon, Ono, Morrison, Jackson, Bono czy sam Presley, obdarzone co najmniej wielkim talentem (bo mówienie o geniuszu bywa zwykle niebezpieczne), zostają w tym spektaklu pomniejszone, wkłada im się w usta a to bełkotliwe, pseudofilozoficzne kwestie, a to prostackie odzywki, a to zwulgaryzowane wersje ich poglądów na świat i sztukę, mające pokazać, że w gruncie rzeczy to wszyscy oni byli śmiesznymi, małymi ludzikami, kabotynami nielewdwie, którym jakimś cudem „się udało” (bo przecież takie indywidua nie mogą być prawdziwymi wielkościami – kiedy Morrison-Kocurek pojawia się na scenie i chce zaśpiewać lub wyrecytować jakiś własny wiersz, zgodny chór z offu protestuje). Nie mam nic przeciwko rozmaitym praktykom „odbrązowiającym”, ale niech na Boga stoi za nimi jakaś sensowna myśl, niech mam poczucie, że chodzi gdzieś o pokazanie człowieka (nawet człowieka-ikony/kabotyńca/sztucznej sławy) i poddanie jego historii jakiejś reinterpretacji. Nie wystarczy mi odbrązawianie na poziomie „a on też chodzi do kibla i wiecie, co tam robi” (w spektaklu Elvis rozmawia z Bogiem – Mariusz Puchalski – siedzącym na kiblu i oglądającym kolejny sezon popularnego serialu telewizyjnego).

Dlatego miałam poczucie, że gdzieś za narracją spektaklową czai się zawiść, którą próbowano przeuć w spektakl za pomocą niemal jednego środka – szyderstwa. To szyderstwo objawia się nie tylko na poziomie języka, ale także gry aktorów, co na szczęście w drugiej części przedstawienia zostało przełamane. Pierwsza część jest grana z jednej strony w konwencji niemal ślapstickowo-przerzysowanej (szczególnie widać to w scenach z rodzicami Presleya, granymi przez Małgorzatę Lodej-Stachowiak i Janusza Andrzejewskiego), z drugiej strony czuć, że aktorzy nie do końca się w tym dobrze czują, są sztuczni, jakby nie całkiem byli przekonani do grania w takiej stylistyce (tu największą zmianę w sposobie grania na spektaklu, który widziałam, dostrzec można było w prowadzeniu postaci przez Zaniewskiego). Taki sposób gry zostaje przełamany w drugiej części, która moim zdaniem jest najlepsza z całego przedstawienia, kiedy na przykład swoją indywidualną scenę ma Marta Szumiel jako Priscilla. Szumiel, grając bardzo formalnie, daleko od psychologizmu, i tak tworzy przejmujący wyraz kobiecie (ludzkiej) samotności. Jej monolog był najlepszą częścią przedstawienia. W tej części u wszystkich postaci zmienia się sposób prowadzenia narracji oraz gra aktorów, co ponownie zmienione zostaje w części trzeciej. To jest mój drugi zarzut wobec tego spektaklu – jest bardzo nierówny i niekonsekwentnie zrobiony. Pojawiają się sceny bardzo dobre, efektowne zrobione – na przykład większość scen zbiorowych, ale są też pomysły, które trudno wytłumaczyć samą inscenizacją i które z jakiegoś dla mnie nieoczywistego powodu zostają w pewnym momencie zarzucone. Dlaczego np. w planie opowieści pojawiało się trzech Elvisów: „główny” (Znanięcki), którego perypetie obserwujemy; Elvis estradowy (Mierzwa), który pojawia się w planie koncertowym oraz alter ego głównego (Kocurek)? Historia tego ostatniego jest chwilami prowadzona równolegle do tej głównego (np. w scenach z młodą Priscillą), lecz w pewnym momencie ta postać znika, choć można by ją utożsamić z martwym bratem bliźniakiem, o którym jest mowa. Mierzwa ma rewelacyjny, silny głos o dużej skali i śpiewa znakomicie, więc świetnie się stało, że wykorzystano to wreszcie w spektaklu na scenie Nowego, i to tłumaczy, dlaczego dano jej sceny koncertowe. Też pewnie głównie z tego powodu pojawia się ona także w roli Jacksona. Podobnie niekonsekwentnie rzecz ma się z postacią (postaćmi?) granymi przez Mariusza Puchalskiego, który początkowo pełni rolę narratora-demiurga wprowadzającego w świat Presleya, potem okazuje się, iż jest wrednym i okrutnym menadżerem – pułkownikiem Parkerem, a fryzura sugeruje, że w zasadzie samym szatanem. W drugiej części demoniczny narrator znika zupełnie, by pojawić się w trzeciej. To on zwraca się wprost do widzów, równocześnie jego postać wygłasza najbardziej bełkotliwe, niby głębokie kwestie. Szczytem takiego bełkotliwego chaosu jest scena zamykająca pierwszą część, w której Narrator, demonicznie podświetlony od dołu światłem z otwartej walizki, którą trzyma przed sobą, wygłasza tyradę, obwieszającą iż w tej oto walizce znajduje się dusza Presleya, a inny bohater (tym razem filmowy) też nosił ze sobą walizkę z duszą, do której kodem było 666. Na koniec każe nam domyślić się, jaki jest kod do walizki Elvisa. Tylko po co mamy to robić, skoro walizka jest otwarta i sam narrator usunął przed chwilą z niej na naszych oczach rozmaite elementy? Ten chaos jest moim zdaniem wynikiem braku jednego pomysłu, co też takiego chce się widzom powiedzieć, robiąc spektakl o Elvisie. Dramaturdy wykonali benedyktyńską robotę, przedzierając się przez to, co napisano czy powiedziano o Presleyu, jest w tekście cała masa faktów z jego życia i nie wiadomo po co spora część z nich jest prezentowana. Z jednej strony widać więc ambicję przekazania sporej ilości informacji dotyczących życia Króla, z drugiej natomiast sama opowieść nie sprawia wrażenia, że za jej pomocą chce się opowiedzieć jakąś prawdę o człowieku, ponieważ spora jej część jest swobodną zabawą wymysłami. Równocześnie pojawia się w nim sporo etiudek aktorskich, które są dość konwencjonalnymi, stworzonymi w duchu realizmu psychologicznego opowieściami o życiu gwiazdy i z gwiazdą. Dodatkowo jeszcze co jakiś czas wplatanie są sceny mające opowiadać o kulturowym fenomenie „elvisomanii” – jak scena słuchania radia przez dwoje młodych ludzi, którzy muszą trzymać nad sobą długi kabel anteny, będąca kopią takiej sceny z filmu *Yesterday* Radosława Piwońskiego, opowiadającego o beatlemani w Polsce lat 60., czy scena podryw w Ciechocinku „na Elvisa” albo obrazy „objawień” Kinga czy spotkań tych, którzy wierzą, że on nadal żyje i na dodatek wszystko jest umieszczone w ramie opowieści szatana-meniadżera. Przez też młode i gęste podejście spektakl jest niespójny i zbyt długi. Taki sposób traktowania materii przedstawienia doprowadził także do tego, iż spektakl ma trzy finały: pierwszym z nich jest refleksyjna rozmowa Elvisa-Mierzwy z kolegami-muzykami w samochodzie i zapowiedź, że za trzy minuty Presley umrze w hotelowym pokoju. Mierzwa zmienia tu sposób ukazywania swojego bohatera, staje się on na chwilę ludzki i można mieć wrażenie, że sztuczna maska „ikony” spada, ale dzieje się tak tylko przez moment. To czytelnik i wyrażnik sygnał dopełniająca myśl, iż od naruconej (także samemu sobie) formy nie ma ucieczki. Zakończenie spektaklu w tym miejscu zostawiałoby puentę otwartą na pewną przypowieściowość i wymszącą historię poza zwykłą prezentację biografii jednostki. Potem jednak pojawia się rzeczony pokój hotelowy z Presleyem, w którego tym razem wcieliła się Andrzejewski. Dlaczego nagle Presley to on? Jeśli reżyserowi chodziło o pokazanie Presleya jako starego i zniszczonego (Andrzejewski jest najstarszy z obsady), to trafił jak kulą w plot. Andrzejewski z czarną peruką, ubrany jedynie w białe majty, wygląda jak mistrz butó i ostatnia rzecz, jaką można powiedzieć o jego fizyczności, to że jest nie w formie. Presley-Andrzejewski początkowo pojawia się na wielkim ekranie otoczony gromadą *gruppies*, a dopiero potem osobiście, kiedy wygłasza nadęte, podsumowujące przesłanie. Ale to jeszcze nie ostatni finał, ponieważ po nim pojawia się na tymże samym ekranie informacja o tym, gdzie i w jakich warunkach Elvis rzeczywiście odszedł.

W tym miejscu trzeba wspomnieć o jeszcze jednym sposobie prowadzenia opowieści, który ma chyba szansę stać się znakiem rozpoznawczym Siegoczyńskiego – prowadzeniu na żywo transmisji z tego, co i tak dzieje się na scenie. Z zadowoleniem przyjmuję to, iż tę swoją pasję transmisyjną udało się Siegoczyńskiemu nieco okiełznać, ponieważ ograniczył się do jednej kamery i jednego, co prawda dużego ekranu. W oglądanych przeze mnie kilka lat temu w koszalińskim *Love Forever* reżyser tak zastawił scenę telewizorami, że to one i zmultiplikowany przez nie obraz zdominowały przestrzeń. W poznańskim przedstawieniu kamera na scenie służyła prezentowaniu zbliżeń aktorów, co niestety miało ten skutek uboczny, iż grali oni do kamery, a nie do żywego widza na widowni. Poza tym tak to jest z obrazem filmowym, że ma większą siłę przyciągania niż człowiek na żywo, więc w Teatrze Nowym czułam się trochę jak w kinie. Jeszcze jeden element z poznańskiego spektaklu przypomniał mi ten koszaliński. Przez cały czas, aż do finału z Andrzejewskim, na scenie umieszczony był stojący lekko ukośnie kontener. W scenie na żywo z jego Presleyem ściana kontenera została otwarta i okazało się, że obrazki z czerwonego pokoju były przekazywane właśnie z jego wnętrza. To bardzo podobne do tego, co działo się w *Love Forever*.

Aktor poznańskiego Teatru Polskiego Piotr Kaźmierczak, z którym wywiad ukazał się ostatnio na Teatralnym, po swoich doświadczeniach z ostatnich (?) lat postulował, by zwrot reżyserki w teatrze zastąpić hasłem „Teraz aktorzy”. Myślę, że warto by się dłużej zastanowić nad propozycją Kaźmierczaka, który jest nie tylko znakomitym aktorem, ale ma także za sobą bardzo udaną rolę reżyserką. Ostatnio coraz częściej okazuje się, że tymi, którzy ratują spektakl przed całkowitą kłapą, są aktorzy. Tak właśnie stało się też i w *Elvisie*. Wydaje się, że mamy coraz większą rzeszę bardzo świadomych swojej pracy, dobrze technicznie przygotowanych aktorów, którzy posiadają bardzo szerokie umiejętności zawodowe i którzy oddawani są w ręce reżyserów nie do końca potrafiących docenić i wykorzystać materiał ludzki, jaki mają do dyspozycji, a także mających czasem kłopoty z określeniem tego, co chcą poprzez swój spektakl powiedzieć. Dlatego po doświadczeniu z Teatru Nowego przyłączam się do hasła Kaźmierczaka: Teraz aktorzy! Wygląda na to, że ich pomysły na teatr są lepsze niż niejednego reżysera.

18-05-2016



ZOBACZ WIĘCEJ

TAGI: [Michał Siegoczyński](#), [Magdalena Zaniewska](#), [Poznań](#), [Teatr Nowy](#) [Udostępnij](#)

### SKOMENTUJ

Autor  lub zaloguj się Treść komentarza **Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem**, wpisz wynik działania: trzy plus dziesięć jako liczbę: 

### KOMENTARZE (2)

**DrFeelGood** | 2021-10-17 23:50:29 # Cytuj

Teatr Nowy w Poznaniu ma to do siebie, że jest połączeniem teatru klasycznego z kabaretem i stand-upem. Salwy śmiechu w trakcie spektaklu nie są niczym nowym i aż przykro czyta się opinie „zawodowej krytyczki” i anonimowego „krytyka”. Zupełnie nie rozumiem hejtu na tę sztukę, która naprawdę została zagrana wysmienicie. Nie będę rozwodził się nad samą treścią, bo nie znam na tyle biografii Presleya, ale doskonale zrozumiałem przekaz zawarty w opisie spektaklu. I chyba o to chodzi. Połączenie „live streamingu” oraz aktualnej historii Polski i Świata, żywcem wyjętej z memów, byłby zapewne oczekiem i kierunkiem młodszej publiczności. Ale takie zabiegi nie są niczym nowym i pozwalają jedynie wciągnąć w teatr młode pokolenie. Zatem Pani Joanno i Panie Piotrze, proponuję zluźnować cztery litery albo wybierać bardziej „wydumane” spektakle (zobacz zgnuszenia tetryków :)

**Piotr Dettloff** | 2021-10-15 18:58:29 # Cytuj

Miałem wczoraj wątpliwą przyjemność obejrzeć ten spektakl. Właściwie obejrzałem 2/3 - po drugiej odsłonie wyszedłem. W pełni zgadzam się z Pani opinią. Oczywiście minęło już pięć lat ale „jakość spektaklu” jest nadal. Nie wszystkie kwestie są nadal aktualne ale główne wątki i opinie jak najbardziej. Nie jestem wielkim koneserem sztuki teatralnej ale mogę powiedzieć czy mi się podobało czy nie. Otóż zdecydowanie nie! Dlaczego? Pani to wyrażała z zdecydowanie lepiej niż ja mógłbym. Jeszcze jedna sprawa dotycząca obecnego czasu: beżsensowny rychoł (głównie młode) publiczności po każdym bluzgu pozostał ale teraz słychać go od widzów siedzących bez maseczek Covidowych. Z tego co wiem obowiązuje ograniczenie ilości widzów do 75% pojemności sali - sala była pełna. Przynajmniej połowa widzów siedziała bez obowiązkowych maseczek. Jedyny komunikat skierowany do widzów dotyczył konieczności wyłączenia telefonów. Nikt z obsługi nie zwracał najmniejszej uwagi na brak maseczek. Tak więc przyszłym widzom życzyć dużo wrażeń i spotkania z wirusem.